

Jerzy Eisler

Jak badać dzieje aparatu bezpieczeństwa w Polsce Ludowej?

Najprostsza i zarazem najkrótsza odpowiedź, jaka nasuwa się na postawione w tytule pytanie, brzmi oczywiście: solidnie, porządnie, wszechstronnie. Truizmem jest przy tym twierdzenie, że po 1989 r. dokonał się prawdziwy przełom w badaniach nad historią Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Był on tyleż konsekwencją zlikwidowania w Polsce w następnym roku instytucji cenzury przewencyjnej, co otworzenia przed historykami (fakt, że nie przed wszystkimi, nie od razu i nie w jednakowym stopniu) niedostępnych dla nich wcześniej licznych zbiorów archiwalnych, a zwłaszcza udostępnienia wielu dokumentów wytworzonych przez centralne i terenowe struktury Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Dla ówczesnego stanu badań nad historią najnowszą i współczesną nie bez znaczenia było też to, że przed 1989 r. wyniki swoich prac badawczych mogli publikować w oficjalnym obiegu wydawniczym niemal wyłącznie cieszący się zaufaniem „odpowiednich czynników” tzw. historycy partyjni. Liczba wydanych wówczas naukowych monografii, które – mimo upływu lat i skokowego wręcz postępu w badaniach nad dziejami najnowszymi – przynajmniej w zakresie faktografii zachowały pewną wartość, jest bardzo ograniczona¹.

Z tą niekorzystną sytuacją – począwszy od drugiej połowy lat siedemdziesiątych – próbowali walczyć niektórzy krajowi historycy publikujący w drugim obiegu wydawniczym pod pseudonimami lub pod własnymi nazwiskami. Warto przypomnieć niektórych z nich: „Andrzeja Alberta”, czyli Wojciecha Roszkowskiego², „Jakuba Andrzejewskiego” – Andrzeja Paczkowskiego³, „Jana Bujnowskiego” – Krystynę Kersten⁴, „Wacława

¹ Poza dwunastoma tomami dokumentów opublikowanych w krytycznym opracowaniu przez „partyjnych historyków” w ramach Archiwum Ruchu Robotniczego (Warszawa 1973–1989) wymieniałbym tutaj, z racji moich naukowych zainteresowań, w pierwszej kolejności dwie tego typu książki: A. Głowacki, *Kryzys polityczny 1970 roku w świetle wydarzeń na Wybrzeżu Szczecińskim*, Szczecin 1985; A. Werblan, *Władysław Gomułka. Sekretarz generalny PPR*, Warszawa 1988.

² A. Albert [Wojciech Roszkowski], *Najnowsza historia Polski*, cz. 3: 1945–1956, Warszawa 1984; cz. 4: 1956–1980, Warszawa 1986.

³ *Gomułka i inni. Dokumenty z archiwum KC PZPR 1948–1982*, wstęp i przypisy J. Andrzejewski [Andrzej Paczkowski], Warszawa 1986.

⁴ K. Kersten, *Historia polityczna Polski 1944–1956*, Warszawa 1982; *eadem*, *Jalta w polskiej perspektywie*, Warszawa–Londyn 1989; *eadem*, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Warszawa 1984.

Pańskiego” – Jerzego Holzera⁵, „Łukasza Sochę” – Marię Turlejską⁶, a także zajmującego się dziejami PRL socjologa Jakuba Karpińskiego, publikującego pierwotnie pod pseudonimem Marek Tarniewski⁷. W odróżnieniu od pozostałych wymienionych osób Karpiński swoje książki najpierw wydawał w Paryżu, a dopiero potem były one wielokrotnie wznawiane w kraju przez rozmaite oficyny drugoobiegowe. Koniecznie trzeba też tutaj wspomnieć o dwojgu autorach książek niezwykle cennych i pomocnych w badaniu dziejów powojennej Polski – Teresie Torańskiej⁸ i Jacku Trznadlu⁹.

Co ciekawe – do tej niezbyt długiej listy prawie nie można dodać znaczących publikacji przygotowanych w środowiskach emigracyjnych, których dokonania na polu historii Polski generalnie trudno przecieżyć. O ile jednak na temat czasu zaborów, II Rzeczypospolitej oraz II wojny światowej opublikowano dziesiątki, nawet setki poważnych publikacji naukowych i publicystycznych, a także pozycji memuarystycznych oraz tomy nader pożytecznych dokumentów, o tyle dla okresu Polski Ludowej można wymieniać dosłownie pojedyncze tytuły (rozmaitej zresztą wartości) zaledwie kilku autorów: Stefana Korbońskiego¹⁰, Czesława Miłosza¹¹, Tadeusza Żenczykowskiego¹² oraz – na trochę innej zasadzie – Witolda Jedlickiego¹³ i Leopolda Tyrmanda¹⁴, którzy z Polski wyemigrowali w latach sześćdziesiątych, ale swoje teksty w znacznym stopniu przygotowali, jeszcze przebywając w kraju.

W następstwie takiego stanu rzeczy poziom wiedzy, nie tyle tzw. społecznej, co historyków, specjalistów dziejów najnowszych, na temat PRL był – jakkolwiek by to nie brzmiało mało wiarygodnie – nieporównanie niższy niż stopień znajomości epok wcześniejszych: okresu II Rzeczypospolitej czy lat wojny i okupacji. Dodać należy, że najwięcej wiedziano o okresie stalinowskim i – ze zupełnie innych powodów – o ostatniej dekadzie dziejów PRL. Zresztą te dwa podokresy do dziś pozostają najlepiej opisane i przeanalizowane w dziejach Polski Ludowej.

Wydaje się, że na to, iż dla okresu po II wojnie światowej najdokładniej opracowane przez historyków są lata stalinizmu, złożyło się wiele czynników. Wszelako za najważniejsze skłonny byłbym w tym przypadku uznać najdłuższą perspektywę czasową i fakt, że główni bohaterowie tamtych lat (o ile żyją) – w odróżnieniu od aktorów

⁵ J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. *Geneza i historia*, Warszawa 1983.

⁶ Ł. Socha [Maria Turlejska], *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944–1956*, Warszawa 1986.

⁷ M. Tarniewski [Jakub Karpiński], *Krótkie spięcie (marzec 1968)*, Paryż 1977; *idem*, *Porcja wolności (październik 1956)*, Paryż 1979; *idem*, *Płonie komitet (grudzień 1970 – czerwiec 1976)*, Paryż 1982.

⁸ T. Torańska, *Oni*, Warszawa 1984.

⁹ J. Trznadel, *Hańba domowa*, Warszawa 1987.

¹⁰ S. Korboński, *W imieniu Kremla*, Paryż 1956; *idem*, *W imieniu Polski Walczącej*, Londyn 1963.

¹¹ C. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Paryż 1953; *idem*, *Zdobycie władzy*, Paryż 1955.

¹² T. Żenczykowski, *Dramatyczny rok 1945*, Londyn 1981; *idem*, *Dwa komitety. Polska w planach Lenina i Stalina. Szkic historyczny*, Paryż 1983; *idem*, *Polska Lubelska 1944*, Paryż 1988.

¹³ W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła*, Warszawa 1963.

¹⁴ L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Londyn 1980.

późniejszych wydarzeń w PRL – od dawna znajdują się poza głównym nurtem życia publicznego, co niewątpliwie ułatwia historykom pisanie *sine ira et studio*. Nie bez znaczenia jest także to, że od lat dysponujemy najpełniejszym dostępem do zbiorów archiwalnych dotyczących okresu stalinowskiego, co było konsekwencją trzydziestoletniej karencji na materiały wytworzone przez rozmaite struktury tak administracji państwowej, jak i rządzącej monopolistycznie PZPR.

Badaczom pierwszego powojennego dziesięciolecia w Polsce dość wcześnie (w niektórych przypadkach nawet jeszcze na długo przed 1989 r.) udostępniano również, przynajmniej niektóre, materiały wytworzone przez struktury ówczesnego aparatu bezpieczeństwa. Wykorzystanie tego rodzaju źródeł pozwalało na skonfrontowanie wyidealizowanego i zarazem zakłamanego obrazu rzeczywistości zawartego w prasie i propagandowych opracowaniach z epoki z obrazem kraju i społeczeństwa, jaki wyłaniał się z tajnych meldunków, raportów i sprawozdań funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa oraz dokumentów wytworzonych przez ludzi podziemia antykomunistycznego, a następnie przechwyconych przez bezpiekę w czasie ich aresztowania.

Jak się wydaje, na podjęcie w pierwszej kolejności badań nad stalinizmem miała także wpływ specyficzna wyrazistość i jednoznaczność tamtej epoki. Wszak to wtedy system przyjął nie tylko najbardziej brutalne i okrutne oblicze, ale jednocześnie cieszył się największym (choć po części wymuszonym terrorem) społecznym poparciem. Towarzyszyły temu narzucone z zewnątrz prawdziwie rewolucyjne zmiany na polu nauki, kultury i sztuki, których symbolem była twórczość socrealistyczna. Wszystko to spowodowało, że wielu historyków, głównie młodszego i średniego pokolenia, podjęło badania nad tamtym okresem. Nie znaczy to, że dzieje Polski w latach 1944–1956 do końca zbadano, opisano, przeanalizowano i nie ma już w nich żadnych tajemnic. Polem ciągle nie w pełni rozpoznanym przez badaczy jest biografistyka, gdzie nadal widoczne są ogromne braki w opracowaniach.

Należy także pamiętać, że w Polsce w latach dziewięćdziesiątych XX w. – z niewiadomych powodów – nie było odpowiedniego klimatu do podejmowania na szerszą skalę badań nad dziejami PRL, którymi na poważnie zajmowało się wtedy zaledwie kilkunastu, może dwudziestu kilku historyków. Gruntowne zmiany w tym zakresie zostały zainicjowane w roku 2000. Spowodowane to było m.in. nader istotną decyzją o sposobie udostępniania badaczom kluczowych archiwaliów dotyczących historii najnowszej i współczesnej. Minister kultury i dziedzictwa narodowego Kazimierz Michał Ujazdowski w 19. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 2000 r. ogłosił, że wszystkie materiały wytworzone przez centralne i terenowe struktury PZPR – niezależnie od tego, czy od ich powstania upłynęła trzydziestoletnia karencja – stają się dostępne dla badaczy.

Posunięcie to miało ogromne znaczenie dla studiów nad dziejami PRL, chociaż – prawdę powiedziawszy – z wielu ważnych dokumentów partyjnych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych historycy mogli korzystać już wcześniej. Niemniej

jednak świetnie pamiętam, że w lutym 2000 r. w Archiwum Państwowym w Gdańsku, gdy zbierałem materiały do monografii Grudnia '70¹⁵, pewne źródła udostępniano mi, zastrzegając zarazem, iż nie będę mógł ich skopiować ani tym bardziej opublikować (*sic!*), gdyż jeszcze nie minęło od ich powstania pełne trzydzieści lat. Dotyczyło to np. – później wielokrotnie prezentowanych – znanych esbeckich fotografii z pochodu 1 maja 1971 r. w Gdańsku, na których utrwalono stoczniovców w żałobie, domagających się ukarania winnych grudniowej tragedii.

Na pewno szczególnie ważne dla badaczy było utworzenie w 2000 r. Instytutu Pamięci Narodowej, co dawało możliwość sięgnięcia po nowe – wcześniej w szerszym zakresie przez nich niewykorzystywane – dokumenty wytworzone przez centralne i terenowe struktury aparatu bezpieczeństwa. Od początku 2002 r. zarówno pracownicy IPN, jak i naukowcy z Polskiej Akademii Nauk i szkół wyższych oraz dziennikarze, a także historycy z zagranicy mogą z nich (z wyjątkiem tzw. zbioru zastrzeżonego) swobodnie korzystać. W następnych latach – ze względu na możliwości finansowe i organizacyjne oraz liczbę zatrudnionych historyków dziejów najnowszych – IPN zdominował (na dobre i na złe) badania nad najnowszą historią Polski.

Wśród badaczy z IPN – także z powodu ustawowych ograniczeń i zaleceń – zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu istnienia instytutu największym zainteresowaniem cieszyły się studia nad komunistycznym aparatem bezpieczeństwa. Można nawet powiedzieć, że w tym czasie dokonał się prawdziwy przełom ilościowy i jakościowy w badaniach nad historią i działalnością bezpieki w Polsce. Niestety, nie wszystkie tego typu publikacje zasługiwały na uznanie i nie wszystkie spełniały standardy stawiane przed naukowymi opracowaniami. Jednocześnie wśród części – jak w mediach lekceważąco, a nawet pogardliwie ich nazywano – „historyków IPN” zaczęło pojawiać się niezrozumiałe i niczym nieuzasadnione poczucie wyższości w stosunku do kolegów ze środowiska akademickiego. Towarzyszyło temu dość często (rzadko jednak znajdujące pełne potwierdzenie we własnych dokonaniach naukowych) przeświadczenie, że tylko badacze z IPN rozumieją dokumenty „bezpieczniackiej proveniencji” i potrafią się nimi fachowo posługiwać.

Pamiętam, jak w czasie jednej z ogólnopolskich narad Biura Edukacji Publicznej IPN, gdy niektórzy koledzy „przerzucali się” resortowymi określeniami w rodzaju: „figurant”, „osobowe źródła informacji”, „komprmateryały”, „praca operacyjna”, „sprawa operacyjnego rozpracowania” itd., spytałem, czy oni siebie słyszą. Powiedziałem, że jeżeli przestawimy znaki wartościujące i w miejsce „bohaterskich żołnierzy niepodległościowego podziemia” oraz „zbrodniarzy z bezpieki” wstawimy „bandziorów z lasu” i „bohaterskich, oddanych sprawie funkcjonariuszy”, to język naszej dyskusji nie będzie się zbytnio różnił od języka funkcjonariuszy w czasie odprawy

¹⁵ J. Eisler, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2000. Por. wyd. 2 poprawione i uzupełnione – Warszawa 2012.

w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Przynajmniej dla mnie było to nie do zaakceptowania. Miałem przy tym wrażenie, że część moich kolegów – świadomie lub nie – chciała stworzyć swoisty etos (okrażonego przez politycznych wrogów i przeciwników) „historyka IPN”, być może na wzór znienawidzonego przecież przez nich, ale i przez większość społeczeństwa w okresie stalinizmu „bezpieczniaka”. Równocześnie niektórzy z nich, zanim opanowali arkaną zawodu i stali się w pełni dojrzałymi historykami, z wolna zaczęli stawać się historykami aparatu bezpieczeństwa, czyli wąskimi specjalistami.

Nie po raz pierwszy w dziejach historycy mieli do czynienia z dokumentami policyjnej czy wywiadowczej proveniencji. Nie chodzi więc tutaj wyłącznie o dyskusję na temat przydatności w badaniach historycznych tego typu dokumentów wytworzonych w okresie Polski Ludowej, ale – szerzej – w ogóle o rolę takich materiałów w badaniach historycznych. Wiadomo wszak, że nie od dziś historycy w swojej pracy posługiwali się nimi np. w badaniach nad dziejami XIX czy pierwszej połowy XX w. Jednak dopiero w ostatnich latach wraz z powstaniem IPN i udostępnianiem na masową skalę historykom, ale także dziennikarzom tego typu materiałów stało się to kwestią interesującą szeroko opinię publiczną. Zainteresowaniu tematem sprzyjał również fakt, że część osób, które uzyskiwały w IPN status pokrzywdzonego, decydowała się na upublicznianie (np. za pośrednictwem Internetu) nazwisk ludzi, którzy byli tajnymi współpracownikami Służby Bezpieczeństwa i przed laty donosili na kolegów. Dotyczyło to głównie – choć nie wyłącznie – działaczy „Solidarności” szczebla zakładowego i regionalnego. Naturalnie tego rodzaju działalność demaskatorska nie miała żadnego wpływu na stan badań naukowych, natomiast znacząco oddziaływała na wzrost społecznego zainteresowania tą tematyką.

Równocześnie – celowo lub nie – udało się wśród niemałej części Polaków wytworzyć przekonanie, że każdy tajny współpracownik to ktoś straszny, okropny, zasługujący na najwyższą pogardę – gorszy niż np. człowiek skorumpowany, oszust czy po prostu złodziej. Trudno się więc dziwić, że zarzut bycia tajnym współpracownikiem traktowano bardzo poważnie i w zasadzie nikt nie chciał się do tego typu działalności przyznać i potwierdzić podnoszonych przeciwko niemu zarzutów, nawet w sytuacji, gdy dotycząca go dokumentacja nie budziła żadnych wątpliwości. Z czasem zresztą stosunek do lustracji i dekomunizacji stał się jedną z najgłębszych linii podziału polskiego społeczeństwa.

Kiedy w 2008 r. ukazała się książka o Lechu Wałęsie autorstwa Sławomira Cenciekiewicza i Piotra Gontarczyka¹⁶, przez media przetoczyła się burzliwa dyskusja, której cechą charakterystyczną było to, że wiele zabierających w niej głos osób zaczynało swoją wypowiedź od słów: „Ja tej książki nie czytałem, ale...”. W tym miejscu – w zależności

¹⁶ S. Cenciekiewicz, P. Gontarczyk, *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, Gdańsk–Warszawa–Kraków 2008.

od tego, jaki dana osoba miała stosunek do Wałęsy oraz procesu lustracji – następowały bezkrytyczne pochwały pod adresem monografii i jej autorów lub przeciwnie – książkę i jej twórców poddawano miazdzącej krytyce. Co ciekawe – obie strony sporu często i chętnie mówiły o profesjonalizmie i warsztacie historycznym albo na odwrót – równie gorliwie odmawiały kompetencji obu autorom, co z pewnością nie dodawało tej debacie należytej powagi.

Wraz z upływem czasu miałem narastające wrażenie, że na naszych oczach rodzi się nowa dyscyplina nauk historycznych lub może ich nauk pomocniczych: historia aparatu bezpieczeństwa. Zwróciłem na to uwagę w trakcie zorganizowanego 3 lutego 2006 r. w Domu Literatury w Warszawie przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa oraz Instytut Pamięci Narodowej spotkania poświęconego agenturze w przedsierniowej opozycji. Sugerowałem wtedy, że tak, jak istnieje – mająca swoich specjalistów i własny, częściowo odmienny, warsztat oraz język dyskursu – historia wojskowości, analogicznie historia społeczna, historia gospodarcza, historia kultury itd., tak – o ile dalej w tym kierunku będą rozwijać się badania w IPN – niedługo może wyodrębnić się mająca także własną specyfikę i swój krąg badaczy oraz własny periodyk¹⁷ nowa gałąź badań: właśnie historia aparatu bezpieczeństwa.

Proces ten istotnie nasilał się, choć wydawało się, że przedmiotem badań w pierwszej kolejności powinno uczynić się raczej zbrojne podziemie niepodległościowe, uczestników „polskich miesięcy”, przedsierniową opozycję, „Solidarność” oraz jej sojuszników, a nie aparat bezpieczeństwa, jego struktury, metody działania i ludzi tam zatrudnionych. Nie była bowiem w moim mniemaniu normalna sytuacja, w której to nie bohaterowie walki o wolną, niepodległą, demokratyczną Polskę, lecz ich prześladowcy: kolejni zwierzchnicy aparatu bezpieczeństwa, a także ich bliscy współpracownicy, stanowili główny przedmiot zainteresowania badawczego wcale niemałej części historyków.

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że przez te wszystkie lata najwięcej emocji w środkach masowego przekazu wywoływała nie tyle metodyka czy metodologia pracy badacza historyka, co kwestia lustracji, którą jej przeciwnicy chętnie opatrywali przymiotnikiem „dzika”. Przez kilka lat nie było miesiąca, aby w mediach nie „dekonspirowano” kolejnego byłego tajnego współpracownika bezpieki. W tej swoistej zabawie w „na kogo popadnie – na tego być” dla wielu najważniejsze było nawet nie to, na ile szkodliwa była działalność poszczególnych osób, ile to, czy nosiły one wystarczająco znane nazwiska. Można nawet powiedzieć, że im nazwisko było szerszej znane, a jego posiadacz miał większe zasługi w działalności opozycyjnej, tym rozleglejszy był społeczny rezonans, a dla „dekonspiratora” większy splendor.

Towarzyszyły temu niekiedy publiczne „świadczenia przyzwoitości”, które – w mediach w odniesieniu do niektórych osób – prezentowali m.in. wybitni peereli-

¹⁷ Miałem wtenczas na myśli „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”, na którego łamach publikuję niniejsze rozważania.

ści, dziś członkowie Rady IPN, a prywatnie moi Przyjaciele: Antoni Dudek i Andrzej Friszke. W efekcie jeżeli ktokolwiek słyszał cokolwiek na temat IPN, to zwykle łączył tę instytucję nie tyle ze zbiorami archiwalnymi, badaniami naukowymi, działalnością pionu śledczego czy popularyzacją wiedzy historycznej, ale właśnie z kwestiami lustracyjnymi. Wystarczy przypomnieć, jakie emocje wywołało opublikowanie w Internecie tzw. listy Wildsteina.

Tymczasem niewiele osób zdaje sobie sprawę, że dokumenty potrzebne w procesach lustracyjnych stanowią zaledwie kilka procent całości zbioru archiwalnego IPN. Analogicznie – to nie zachowane do naszych czasów, tak bardzo „pociągające” niektórych badaczy, donosy tajnych współpracowników przesądzą o wartości zasobu archiwalnego instytucji. Tego typu dokumentacja jest zresztą pomocna przede wszystkim przy pisaniu biografii konkretnych osób oraz monografii opozycyjnych środowisk lub organizacji. Dla badań bardziej ogólnych i syntetycznych znacznie większe znaczenie mają natomiast różnego rodzaju sprawozdania, raporty i zbiorcze analizy przygotowywane przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, pozostające prawdziwą kopalnią informacji o ówczesnej rzeczywistości, powstające zarówno w Centrali MSW, jak i terenowych jednostkach „bezpieczeństwa”. W takiej sytuacji wszelkie dzienne, tygodniowe, miesięczne raporty o nastrojach społecznych, w których odnotowywano wszystkie katastrofy, większe wypadki, strajki, protesty społeczne, ale także np. plotki i dowcipy, stały się bezcennym źródłem przy badaniu nie tylko historii społecznej.

Ich wartość jest nie do przecenienia tym bardziej, że w czasach Polski Ludowej albo w ogóle nie prowadzono badań socjologicznych, albo (zwłaszcza przed 1980 r.) realizowano je z różnymi ograniczeniami, a ich wyniki w pełnej wersji często nie mogły być publikowane w oficjalnym obiegu wydawniczym. W efekcie w zgodzie z naukowymi standardami badacze mogli niewiele powiedzieć o rzeczywistych nastrojach i postawach społecznych Polaków. Można było posługiwać się źródłami pośrednimi: memuarystyką, odpowiednio odczytywaną prasą z epoki, zebranymi relacjami aktorów i obserwatorów opisywanych oraz analizowanych wydarzeń, ale za każdym razem otrzymywano obraz cząstkowy, na swój sposób zdeformowany i silnie obciążony subiektywizmem.

Nie można też zapominać, że równocześnie aparat bezpieczeństwa w PRL permanentnej inwigilacji poddawał tysiące osób. Przechowywane dziś w archiwum IPN materiały wiele zatem mówią nie tylko o funkcjonariuszach SB, lecz także o kondycji polskiego społeczeństwa, w tym o zakresie oraz skali donosicielstwa. Niekoniecznie zresztą było ono efektem działalności tajnych współpracowników, wzbudzających po latach tak duże zainteresowanie mediów. Aparat bezpieczeństwa, dysponujący rzeczą tajnych współpracowników¹⁸, zawsze mógł także liczyć na współpracę kolejnych

¹⁸ Ich liczba zmieniała się w różnych latach i obejmowała wyłącznie tajnych współpracowników pionów operacyjnych SB, a przecież tajnymi współpracownikami dysponowały także komórki pomocnicze, takie jak np. zajmujące się inwigilacją Biuro „B”. Nieznana jest również dokładna liczba innych oso-

tysięcy osobowych źródeł informacji (OZI) innych kategorii. W efekcie skala donosicielstwa była znacznie większa, niż komukolwiek jeszcze kilkanaście lat temu mogło się wydawać. Jak wiadomo, OZI można podzielić na co najmniej dwie kategorie.

Po pierwsze, były to osoby pełniące funkcje kierownicze (dyrektorzy, kierownicy, rektorzy, redaktorzy naczelni, prezesi itd.), które poniekąd w sposób naturalny, z racji piastowanych stanowisk, były zobowiązane do udzielania funkcjonariuszom SB niezbędnych wyjaśnień dotyczących podległych im pracowników, którymi służby się interesowały. Zrozumiały, że o jakimkolwiek uchylaniu się od tego typu współpracy nie mogło być nawet mowy, choć na pewno nie każda osoba pełniąca kierownicze stanowisko zetknęła się z tego typu sytuacjami. Nie wszyscy bowiem szefowie musieli być informatorami aparatu bezpieczeństwa. Wystarczyło, by w kierownictwie każdej instytucji znajdowała się jedna taka osoba, na której pomoc SB zawsze mogła liczyć.

Drugą kategorię OZI stanowili właśnie tajni współpracownicy. Byli to – jak wiadomo – ludzie zwerbowani i zarejestrowani przez odpowiednie komórki organizacyjne SB. Oczywiście różne były motywy podejmowania przez nich tego typu działalności. Część robiła to dla pieniędzy i innych osobistych korzyści (mieszkanie, studia, dobrze płatna praca, wyjazdy zagraniczne), niektórych złamano i do współpracy przymuszano groźbami lub szantażem, dla innych donosicielstwo było czymś na kształt hobby albo – choć dziś niełatwo w to uwierzyć – rodzajem misji obywatelskiej. Byli wreszcie i tacy, którzy, podejmując tego typu działalność, załatwiali przy okazji osobiste sprawy: kompromitowali nielubianego sąsiada, łamali karierę niewiernemu współmałżonkowi, odgrywali się na przełożonym albo podwładnym, którego po prostu nie lubili lub się go bali.

Oczywiście ludzi śledzono także za pomocą środków technicznych, przede wszystkim podsłuchu telefonicznego lub tzw. podsłuchu pokojowego¹⁹. W tym ostatnim przypadku niekiedy bywało i tak, że część interesującej funkcjonariuszy rozmowy była prowadzona – jak to ujmowano w resortowych dokumentach – w „pomieszcze-

bowych źródeł informacji (OZI), takich jak kontakty operacyjne, wśród których było wielu członków PZPR. Niemniej jednak można przypomnieć, że – według danych bezpieki – w 1953 r. było 85 333 tajnych współpracowników, a w szczególnie niesprzyjającym pod tym względem 1960 r. – zaledwie 8720, czyli prawie dziesięć razy mniej. W następnych latach ich liczba zaczęła jednak stopniowo rosnąć, by u schyłku PRL osiągnąć rekordowy (wyższy nawet niż w okresie stalinowskim) poziom 100 tys. (T. Ruzikowski, *Tajni współpracownicy pionów operacyjnych aparatu bezpieczeństwa 1950–1984*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2003, nr 3, s. 124).

¹⁹ W recenzowanej rozprawie habilitacyjnej Juliana Kwieka (*idem*, *Marzec 1968 w Krakowie*, Kraków 2008, s. 330) dostrzegłem w tekście dość zabawny błąd, który – co zakrawa może na paradoks – moim zdaniem raczej dobrze świadczy o autorze. Otóż napisał on w pewnym momencie, że „źródłem części informacji byli funkcjonujący w tym środowisku dwaj tajni współpracownicy: »PP« i »PT«”. Otóż PP i PT to oczywiście nie byli żadni tajni współpracownicy, to w ogóle nawet nie byli ludzie, lecz zapisane w esbeckim żargonie: podsłuch pokojowy (PP) oraz podsłuch telefoniczny (PT). Dla części moich kolegów z IPN, na co dzień zajmujących się komunistycznym aparatem bezpieczeństwa, taka „wpadka” byłaby pewnie kompromitująca i dyskwalifikująca, lecz ja pomyślałem, że może jest to znak, iż Julian Kwiek jeszcze nie przesiąkł tym koszmarnym bezpieczniejskim językiem.

niach niezabezpieczonych” lub przy włączonym radiu czy lejącej się wodzie z kranu, co uniemożliwiało, a w każdym razie bardzo utrudniało skuteczne podsłuchiwanie. Niemniej jednak, nie licząc się z kosztami, nieustannie inwigilowano wybrane osoby, wykorzystując wszystkie możliwe środki techniczne i operacyjne. Znaczyło to, że osoby, którymi interesowała się SB, były niemal bez przerwy śledzone, a nierzadko także fotografowane i filmowane, przez co najmniej kilku wywiadowców i/lub tajnych współpracowników, podsłuchiwane w domu i miejscu pracy, kontrolowano ich korespondencję, a jeżeli uznano ją za niebezpieczną – niejednokrotnie po prostu rekwirowano.

Wszelako posługując się przechowywanymi w IPN materiałami archiwalnymi, trzeba zachować szczególną ostrożność, przy czym nie chodzi tu tylko o kwestię stopnia ich wiarygodności. Funkcjonariusze UB/SB – autorzy rozmaitych raportów i sprawozdań – z oczywistych powodów koncentrowali się na działaniach i wydarzeniach nietypowych, odstających od ówczesnej normy. Odnotowywali zatem każdy, nawet najmniejszy zauważony przejaw protestu przeciwko władzy. Liczyli z dokładnością co do sztuki „wrogie” ulotki i napisy oraz za pomocą stale rozbudowywanej agentury, a także podsłuchu, starali się gromadzić możliwie wszystkie „wrogie” wypowiedzi. W efekcie powstawał obraz mocno zdeformowany. Przeglądając te dokumenty, można niekiedy odnieść błędne wrażenie, że niemal całe społeczeństwo stawiało opór władzy komunistycznej. Odnotowywano bowiem 10, 100, 1000 „wrogich” gestów, ale nie zapisano już tego, że w tym samym czasie z różnych powodów (strach, oportunizm, lenistwo itd.) 10, 100, 1000 razy więcej ludzi zachowywało się w sposób bierny i satysfakcjonujący z punktu widzenia rządzących.

Czasem też autorzy rozmaitych sprawozdań, analiz i raportów – wedle oczekiwań przełożonych – minimalizowali lub przeciwnie – sztucznie wyolbrzymiali charakter i skalę opisywanych przez siebie wydarzeń i zjawisk. W ten ostatni sposób uzasadniali też pośrednio własną przydatność i od czasu do czasu wymuszali na przełożonych dodatkowe środki finansowe na własną działalność, skoro tak silni, jak głosili, byli przeciwnicy systemu. Niekiedy też funkcjonariusze dawali upust upodobaniu do spiskowej teorii dziejów, mniej lub bardziej świadomie kreując właśnie taki obraz wydarzeń, który niekoniecznie musiał mieć wiele wspólnego z rzeczywistością. Nierzadko – jak gdyby przy okazji – wychodzili w ten sposób naprzeciw oczekiwaniom niektórych przełożonych, którzy również byli wyznawcami spiskowej wersji historii.

Aby zmniejszyć ryzyko zbyt pochopnego i niemal bezkrytycznego przejmowania nieprawdziwych informacji zawartych w tych dokumentach, należy każdorazowo przed przystąpieniem do pracy z nimi zapoznawać się z coraz bogatszą już literaturą przedmiotu. Pozwala to na weryfikowanie rozmaitych informacji zawartych przecież nie tylko w dokumentach z archiwum IPN. Temu samemu celowi służy też możliwie jak najszersze różnicowanie bazy źródłowej. Można wręcz powiedzieć, że im bardziej zróżnicowany, zaczerpnięty z rozmaitych archiwów materiał źródłowy, tym większe

szanse na napisanie rzetelnej, oryginalnej i wartościowej z naukowego punktu widzenia pracy.

Wracając do postawionego w tytule pytania o to, jak powinno się badać dzieje aparatu bezpieczeństwa w powojennej Polsce, przede wszystkim należy stwierdzić, że w tym zakresie muszą być przestrzegane takie same zasady, jakie obowiązują w ogóle w pracy badawczej historyka. Trzeba więc materiały wytworzone przez struktury aparatu bezpieczeństwa poddawać takiej samej krytyce zewnętrznej i wewnętrznej, jakiej poddajemy wszystkie inne źródła. Jakby to nie brzmiało banalnie, nigdy nie wolno zapominać, że nie możemy im wierzyć ani mniej, ani więcej niż wszystkim innym dokumentom. Tymczasem w ferworze dyskusji wokół materiałów wykorzystywanych w procesie lustracji niektórzy historycy (ufam, iż w najlepszej wierze) przekonywali, że w przechowywanych w archiwum IPN materiałach jest tylko i wyłącznie prawda i nie ma mowy o tym, aby zawierały jakiegokolwiek błędy i fałszywe informacje, a przecież – podobnie jak inne tego typu dokumenty – tworzyli je ludzie. Mogli się czasem po prostu mylić, mogli niekiedy świadomie kłamać, mogli wreszcie bezwiednie korzystać z tzw. materiałów wyjściowych, gdzie znalazły się informacje nieprawdziwe (np. błędne imiona i nazwiska, nieprawidłowe daty, źle odczytane pewne wiadomości itd.), które następnie powielali w kolejnych wytwarzanych dokumentach.

Musimy zatem materiały wytworzone przez bezpiekę stale konfrontować z dokumentami pochodzącymi z innych archiwów, wytworzonymi przez pozostałe ogniwa władzy komunistycznej (np. przez struktury partyjne), a także – w miarę możliwości – ze źródłami wytworzonymi przez ich politycznych przeciwników o opozycyjnym rodowodzie. Nie wolno też z góry przesądzać, do których będziemy się odnosić z większym zaufaniem, którym zaś będziemy mniej ufać. Nie mają tu nic do rzeczy, a w każdym razie na pewno nie powinny mieć, własne życiowe doświadczenia oraz poglądy polityczne. Naukowe książki i artykuły nie są bowiem najlepszym miejscem do ich prezentowania. Powinniśmy tak pisać, aby czytelnik nie wiedział, jakie są sympatie i antypatie polityczne autora. Równocześnie – w moim najgłębszym przekonaniu – pracy naukowej nie powinien przyświecać żaden cel utylitarny, nie powinniśmy mieć innego wewnętrznego imperatywu niż pragnienie poznania prawdy i w miarę możliwości w ogóle jak najdokładniejszego poznania przeszłości. Dodajmy na koniec – poznania po prostu dla samego poznania!